

Nigdy nie klęli, nie krzyczeli na sędziów, nie kłócili się i nie byli złośliwi. W centrum ich świata była gra fair play. To drużna – rodzina, w której dobrze się czujesz.

Majkel, kiedy grasz?

Rozmowa z Michałem Mrozkiem, nie tylko o pierwszej w Polsce fotograficznej książce o futbolu amerykańskim.

Próbowałeś futbolu amerykańskiego?

Nie, ale wiele razy mnie namawiali. Najintensywniej na początku mojego projektu. Nie było meczu bez sakramentalnego: „Majkel, potrzebujemy cię”. Posturą świetnie nadaję się na defensywnego zawodnika, mógłbym stać i nikogo nie przepuszczać. Jednak odmawiałem, bo gdybym zaczął grać, a jestem osobą na sto procent wciągającą się w to, co robi, wpadłbym bez reszty i przestał fotografować. Bardziej kocham fotografię, więc wolałem towarzyszyć drużynie z aparatem. Używałem zresztą różnych forteli, żeby dostać się jak najbliżej. Na przykład zakładałem zawodnikom sprzęt fotograficzny na brzuch lub plecy, wypuszczałem ich na boisko i zdalnie robiłem zdjęcia. Ale nie o to mi chodziło.

Wielu ludzi nie lubi tego sportu, nie jest u nas popularny.

W fotografowaniu pomogła mi znajomość zasad, które są dość proste. Przez pierwsze miesiące robiłem zdjęcia specyficznie, trochę nie wiedząc, co się wydarzy. Były dobre, ale jak już pojąłem tę grę, pracowało mi się znacznie lepiej. Wiedza pozwala zobaczyć: potrafisz przewidzieć sytuację, wiesz, gdzie stanąć. Jednak po pierwszym sezonie zrozumiałem coś znacznie ważniejszego - nie chcę fotografować tego, co dzieje się na boisku. Żaden ze mnie fotograf sportowy, nie znam się na tym. Najbardziej interesowały mnie relacje między zawodnikami, to, w jaki sposób

odnoszą się siebie, jak się traktują.

Mówisz, że nie jesteś fotografem sportowym, ale przecież przyszedłeś do Gliwice Lions, żeby fotografować sport.

Wiosną 2012 roku napisała do mnie dziewczyna z Krakowa, z żeńskiej drużyny hokejowej. „Panie Michale, mam świetny pomysł na promocję mojej drużyny, najgorszej w grupie. Jesteśmy na samym dole tabeli i chcielibyśmy, żeby zrobił pan o nas reportaż, dokument pokazujący nasz zespół”. Przeczytałem wiadomość i pomyślałem: fantastyczny pomysł. Tylko ten Kraków, przecież nie przeprowadzę się tam na rok, bo takiego dokumentu nie da się zrobić w tydzień. Podziękowałem hokeistce z Krakowa i zaproponowałem ten temat dobremu znajomemu, który zresztą podjął się zadania. Pomysł zaciekał mnie na tyle, że zacząłem zastanawiać się, czy w Gliwicach nie ma drużyny hokejowej kobiet. Nie było. Ale wiesz, jak to jest - ziarno zasiane. I pewnego dnia na ulicy zobaczyłem plakat z informacją o drużynie futbolu amerykańskiego Gliwice Lions. Wyobraziłem sobie potężnych wytatuowanych chłopów i niemal od razu pojawiło się znajome uczucie. Kiedy zaczynam jakiś projekt, biorę się za niego z dwóch powodów: bardzo kocham albo bardzo się boję. Dla mnie to najlepszy drogowskaz. I przy tym plakacie właśnie poczułem "bardzo się boję".

Czego? Że cię wyrzucą, wyśmieją?

Że będzie ciężko. Spławią mnie szybko, powiedzą "facet, nie przeszkadzaj". Kłębły mi się w głowie różne myśli - są więksi, silniejsi i tworzą stado, a ja jestem sam.

Baleś się, że spuszczą ci manto?

Nie... istnieje rodzaj bardzo pozytywnego strachu i ja go wtedy czułem. Pierwsze, co zrobiłem, to zajrzałem na ich stronę, potem skontaktowałem się z zarządem klubu. Pojawili się w moim fotograficznym studiu, opowiedziałem o pomysle, o tym, że przez rok chciałbym fotografować drużynę. Miałem tylko jedną prośbę: dostęp do wszystkiego. Chciałem być ich cieniem. Zgodzili się od razu i zaprosili na pierwszy trening. Tam poznałem osobę do dziś dla mnie najważniejszą - Pawła Klawendera. Kapitana drużyny, od którego zależało wszystko, także moja wszędobylska obecność. Od pierwszej sekundy poczuliśmy więź, wiedziałem, że to gość, z którym będę konie

kradł. Po tym, co zobaczyłem na tym pierwszym treningu, pomyślałem: futbol amerykański to więcej niż sport, to forma przynależności ludzi podobnie myślących. Nie obchodziło mnie boisko, intrygowały i pociągały rzeczy inne, z zaplecza, szatni. Ja tam fotograficznie zwariowałem. W pierwszym dniu zrobiłem chyba najwięcej zdjęć. Z drużyną byłem przez cały 2012 rok i, jak mi się wydawało, miałem dobry materiał. Złożyłem go, wybrałem kilkanaście najlepszych fotografii, ułożyłem w opowieść, opublikowałem w magazynie "PokochajFotografie.pl". I poszło w świat.

Jakie to były historie?

Na przykład o walce na boisku. Jak patrzę na to z perspektywy czasu, widzę, że moje zauroczenie było naiwne. Z fotografii opublikowanych wtedy w reportażu w mojej najnowszej książce jest jedna.

Z tego pierwszego etapu?

Tak. W 2012 roku myślałem: to koniec. Pożegnałem się z nimi, ale mieliśmy kontakt, bo z paroma osobami się zaprzyjaźniłem. Spotykaliśmy się na piwie, czasami na pokerze, często zwyczajnie na ulicy, bo większość zawodników jest z Gliwic. W nowym roku robiłem już jakieś inne fotograficzne projekty, ale mimo to miałem w głowie, że muszę coś ze sobą zrobić, muszę iść na trening i zobaczyć, czy oni tam w ogóle jeszcze są. Wziąłem aparat, bo bez niego się nie ruszam. - Przyszedłeś, bo jesteś przecież częścią drużyny - tak mnie przyjęli. Dla nich to wcale nie był koniec, ja tak myślałem. I zostałem z zespołem kolejne pięć lat.

Czego dowiedziałeś się o tych ludziach? Bo opowiadasz o nich z ogromnymi emocjami.

Dużo podróżowaliśmy, miałem więc okazję oglądać inne drużyny. U Lionsów było inaczej, jeśli chodzi o postawy, i to nie tylko w czasie meczów. Nigdy nie klęli, nie krzyczeli na sędziów, nie kłócili się i nie byli złośliwi. W centrum ich świata była gra fair play. To drużyna – rodzina, w której dobrze się czujesz. To nie tylko moje spostrzeżenia, bo tak o Lionsach mówili ich przeciwnicy. Niestety, nie przekładało się to na wyniki. Czasami w tym sporcie trzeba być brutalnym, grać ostro, pokazać siłę. Zauważyłem, że ten wizerunek Lionsów kreował głównie Paweł. To on nie lubił się kłócić, był niezwykle spokojnym człowiekiem, dlatego tych czterdziestu facetów

poddawało się jego charyzmie. Jeśli ktoś zaklął, a zdarzało się, podchodził do tej osoby i mówił: „nie rób tego” albo "idź stąd".

W najnowszej książce są zdjęcia pokazujące tę więź.

Tak, jednak wiele się nie zmieściło. Na przykład te ze ślubu jednego z zawodników. Wszyscy trzymają kaski w górze, tworząc tunel. Fantastyczne to było.

Nie znalazło się, bo...

Nie pasowało do konwencji.

To twoje życie w futbolowej rodzinie okazało się dobre z punktu widzenia fotograficznego, czy było może rodzajem więzienia? Nie mogłeś czegoś zrobić, wiedząc, że drużyna źle to przyjmie.

Bardzo lubię zaprzyjaźniać się z moimi bohaterami, być blisko nich, jak najlepiej ich zrozumieć. Jeśli wiem więcej, więcej też widzę. Mogłem obserwować, co dzieje się z nimi przed meczem, na spotkaniach. Wybrałem kilku zawodników, między innymi Pawła, kapitana, Hermana, ale też gracza, za którym wielu nie przepadało.

Dostrzegłem u niego niewiarygodną ambicję oraz zapał, i za to bardzo go szanowałem. Był specyficzny, ale ważny dla zespołu. Tam są potrzebne indywidualności, bo gdy jesteś na boisku, a przed tobą zawodnik mający dokładnie takie samo zadanie, jeśli nie dasz rady, on może skrzywdzić twojego kolegę. Przez moich bohaterów fotografowałem innych. Wybierałem jedną postać, z mojego punktu widzenia interesującą, i pisałem esej. To moja metoda, tak pracuję.

Podoba mi się zdjęcie z jaśniejącym zawodnikiem. Bije od niego niesamowita siła...

Wiem... strona 64. To Paweł Herman. Opowiem ci takie zdarzenie... Do malutkiej szatni wchodzi z 40 osób, stają w kręgu, on w środku, w pewnym momencie zabiera głos: „Pomódlmy się za zdrowie naszych przeciwników. Żeby im i nam nic się nie stało”. Kto mógł, klękał, bo tam nie było za bardzo miejsca, ci, co wierzyli, modlili się, reszta nie przeszkadzała. Wszyscy wiedzieli, że to pomoże. Stałem przyparty do ściany, ale wspiąłem się na ławkę, bo chciałem zrobić zdjęcie z góry, i nie byłem w stanie, bo poleciały mi łzy. Mnie, niewierzącemu... W takim nastroju wybiegali na boisko i wygrywali bądź przegrywali, ale to nie miało znaczenia.

Nie chcieli być mistrzami Polski?

Jasne, że tak. Ale najbardziej na świecie chcieli grać.

Musiałeś ich fotografować w bardzo różnych sytuacjach. Na zdjęciach widać, że robiłeś to w ekstremalnie niebezpiecznych warunkach. Gdzie cię wpuszczali?

Pracuję tylko jednym obiektywem, 35 mm, nie mogę więc stać daleko. Czasami zakładałem 24 mm, który jest już ewidentnie szerokim kątem. Byłem więc bardzo blisko linii. Na szczęście niespecjalnie zależało mi na zdjęciach z boiska. Bardziej na na tym, co działo się z drugiej strony, a tam już byłem najbliżej, jak się da. Owszem, jest niebezpieczne, zawodnicy są kaskach oraz padach i jak wpada na ciebie dziesięciu chłopca, może ci zrobić krzywdę

Gdzie najchętniej zaglądałeś?

Oni pod prysznic, ja za nimi, jedzą hamburgera, ja za nimi, idą do domu, wciąż za nimi. Byłem cieniem, ale dużo rozmawialiśmy, dzięki temu mam interesujące historie. W książce znajdują się autentyczne opowieści, które od nich usłyszałem. Najczęściej bali się kontuzji. I nie chodzi o ból czy cierpienie, ale o to, że nie będą mogli grać. Pamiętam Marcela. Miał potworny wypadek na boisku, lekarze powiedzieli mu „to koniec, nie będziesz już nigdy grał”. Rok później znalazł się na boisku, bo bardzo poważnie podszedł do rehabilitacji, ale nie był już tym samym zawodnikiem, bał się nowej kontuzji, która znowu wyłączy go z gry. Uwielbiałem hart ducha Tomka - Kitera: nigdy się nie bał. Na zdjęciu z książki wygląda jak żołnierz. No, powiedz sama.

Faktycznie.

Tomek bardzo mi imponował. Miał największy hart ducha. Wytlumaczę ci, o co chodzi: kiedy widzisz przed sobą czterech czy pięciu zawodników, bardzo trudno w nich wbiec czy ich ominąć. Większość robi to niechętnie, on wręcz przeciwnie. Kompletnie się nie bał. Podobną postawę miał Adam, swego czasu najlepszy kopacz w całej lidze. Dostał się do reprezentacji Polski, jako jeden z nielicznych z Gliwice Lions. Dziś gra w najlepszej drużynie – Panterach. Adam miał nogi jak koń. Potrafiło się do niego przyczepić z czterech zawodników, on biegł dalej. Oczywiście do drużyny przychodzą też zawodnicy, którzy chcą się tylko bić, używać siły. Oni

nie są moim bohaterami.

Od razu wiedziałeś, że z tego materiału powstanie książka?

Przez długi czas nie. Lubię przy projektach pracować bez presji czasu. Jestem wyluzowany, nic nie muszę. Dla mnie fotografia to wielka przyjemność. Dzięki niej uczę się życia i o życiu. Kiedy idę ulicą, mam kapitalny pretekst, żeby podejść i porozmawiać. Dawniej nie rozglądałem się, nie szukałem ludzi, dopiero aparat dał mi dobry pretekst. Zacząłem widzieć więcej.

Ile zdjęć zrobiłeś w cyklu?

Przez te wszystkie lata zrobiłem tysiące zdjęć i kilka filmów dokumentalnych, uczestniczyłem w ponad 40 treningach, 30 meczach i różnych spotkaniach poza boiskiem. Wybierając fotografie do książki, musiałem podejmować bardzo trudne decyzje - każde zdjęcie jest efektem przemyśleń i staram się, aby ta opowieść była interpretacją tego, co widziałem i czego doświadczyłem. Na początku wybrałem około 13 tysięcy fotografii. Połowę odrzuciłem, przez rok edytowałem materiał. Do książki finalnie trafiło sto. Mam bardzo dużo zdjęć, które się w niej nie znalazły. "More than a sport/Więcej niż sport" jest opowieścią o każdej drużynie w Polsce, nie ważne, w Szczecinie czy Gliwicach. Rutyna, walka o boisko, o to, żeby przyszli ludzie, pojawiają się wszędzie. W książce nie stosowałem żadnej hierarchii czasowej, podzieliłem ją na wątki niekoniecznie ze sobą współgrające tak, by ten, kto weźmie ją do ręki, sam mógł odnaleźć opowieść. Niedawno zadzwonił do mnie przyjaciel taty. Dostał tę książkę na urodziny, przejrzał, przy zdjęciach zrobił notatki. Powiedział, że gdy czytał, przypomniało mu się dzieciństwo. Przez czarno-białą formę, ale i sposób obserwacji. Wiedział, że fotografuję, ale nigdy wcześniej nie widział moich prac i obojętnie na której otworzył, zawsze czuł, że ma dostęp do jakiejś tajemnicy.

Dlaczego Lionsi cię potrzebowali?

Bardziej ja ich... Może na początku myśleli o promocji, szybko okazało się, że to tak nie działa. Ja poczułem chęć opowiadania. Nie o sporcie, o ludziach. Pod koniec meczu czy treningu jest moment, w którym zawodnicy zbiegają się na środek boiska i formują koło. Staje w nim trener, bierze piłkę i podaje najlepszemu graczowi. W ten

sposób go wyróżnia. Zawodnik musi coś powiedzieć, potem podnosi tę piłkę, wszyscy jej dotykają. To niezwykle energetyczne wydarzenie, dające niesamowitą frajdę osobie będącej w środku. Gdzieś po półtora roku mojego fotografowania, tuż po treningu, widzę, jak formują koło. Dobiegam z aparatem, wpycham się, nic nie widzę, a chcę być między nimi, i nagle słyszę swoje imię. Majkel, wołają, chodź na środek. Dostałem piłkę. Byłem jednym z nich, więc ta książka jest też o mnie.

Tęsknisz za nimi?

Aktualnie Lionsi nie grają jako Lions, grają z inną drużyną, z Rybnika. Paweł trenuje już gdzie indziej. Coś się skończyło, jednak wierzę, że odnajdą się na nowo. Jestem smutny, bo nie ma tych ludzi, których fotografowałem, zostało kilka znajomych twarzy. Tak już w życiu jest. I wiesz, co ci powiem? Nie będę już chyba fotografował sportu.

Michał Mrozek

Jest fotografem, kocha dokumentować i portretować życie, ciekawi go człowiek i jego codzienność. Grafiki, uwielbia design i typografie. Edukator i promotor fotografii, od wielu lat organizuje warsztaty i projekty fotograficzne na całym świecie, z najwybitniejszymi fotografami. Jest wydawcą, pomysłodawcą i redaktorem naczelnym magazynu PokochajFotografie.pl.